Opłata pocztowa uiszczona gotówką
Cena egzempl. 30 gr

KUŹNICA

SPRAWY NARODOWE SPOŁECZNE I KULTURALNE
DWUTYGODNIK

NR. 18 (40) KATOWICE, 15-30 WRZESIEŃ 1937 R. ROK II

PAWEŁ MUSIOŁ.

Ani sanacja ani opozycja

STARE PODZIAŁY.

Ciągle jeszcze zapomina się u nas o dwu bijących w oczy faktach: o tym, że czasy, w których żljemy, to tym, że czasy, w których żyjemy, to czasy dokonywania się wielkiego przełomu w dziejach. Przykładać przeto dawne miary i pojęcia do ruchu narodowego, do wielkich procesów społecznych, znaczy nic więcej, jak brak zmysłu rzeczywistości. A właśnie z zapoznawania tych zjawisk wypływa, że wciąż szufladkuje się przejawy życia według starych wzorów; że wciąż wpycha się je w ciasne i niewygodne brzegi, dobre na dawne czasy.

Ten błąd popełnia się szczególnie przy ocenie haseł i dążeń ruchu narodowo-radykalnego. Jakkolwiek tyle razy ugrupowania narodowo-radykalne oświadczyły (i wynika to z ich ideologii), że nie są ani lewicą ani prawicą ,ani opozycją ani sanacją, gdyż ani po jednej ani po drugiej stronie zmieścić się nie mogą, jako ruch obejmujący programem cały naród i uniwersalny w swej ideologii, nieustannie usiłuje się go umiejscowić w jakiejś partii, koterii, po tej czy po tamtej stronie, więc pozbawić tego charakteru istotnego, jakim jest właśnie jego *powszechność* i *niezależność*.

Ta chęć zamknięcia nowego ruchu narodowego w którejś ze starych szufladek świadczy tylko wymownie o tym, jak starsze ugrupowania polityczne (raczej sztaby) tkwią głęboko w starych podziałach, jak przez nie patrzą na Polskę, jak się w tym oskorupiły. Świadczy to jeszcze o tym, że nie posiadają żadnej wizji przyszłej Polski, coby je z tego stanu inercji ideowej i programowej wyrwać potrafiła.

Tymczasem chwila dziejowa i życie narodu w własnym państwie wymagają nowego wykładnika politycznego i nowej treści ideowej na miarę czasów nadchodzących. Narodowo-radykalny ruch nie jest ruchem partyjnym, — jest ruchem światopoglądowym. Walczymy nie dla korzyści klasy czy stronnictwa, ale o te cele i zasady, które w naszej wierze i przekonaniu prowadzą do Wielkiej Polski. Nowy ruch narodowy jest wyrazem pełnego zrozumienia faktu niepodległości Polski i charakteru chwili dziejowej.

2.

PODZIAŁ ŚWIATOPOGLĄDOWY.

Dziś stare podziały na lewicę i prawicę, na sanację i opozycję nie pokrywają się już z rzeczywistością. Pierwsza linia podziału tkwi rodowodem swym w czasach o całkowicie odmiennych od dzisiejszych warunkach, druga po prostu rozłazi się w naszych oczach. Podziały te zresztą z naturalnych względów (i dlatego, że dzielą i dlatego, że utrzymują się bezwładem i starymi reżyserami politycznymi) ujmują nasze życie narodowe partykularnie i fragmentarycznie, gdy tymczasem moment historyczny wymaga ujmowania bezwzględnie całościowego.

Istotnym i rzeczywistym staje się inny podział: światopoglądowy. Odbywa się głęboki proces podziału na dwa obozy: narodowy i chrześcijański z jednej strony, marksistowski lub zbliżony doń nstawieniem z drugiej. (Do obozu pierwszego nie włączamy ani konserwy ani sfer lewiatańskich ı t. p., które poglądami społecznymi i „narodowymi“ obce są na wskroś nowemu ruchowi narodowemu; dla tych grup miejsce raczej po przeciwnej stronie).

Walka toczy się nie o program społeczny i gospodarczy, ale właśnie o światopogląd, w duchu którego ma się dokonać przebudowa Polski. Bo do przebudowy ustroju społecznego dążą dziś wszystkie ruchy prawdziwie narodowe, a szczególnie ruch narodowo-radykalny, chodzi natomiast o to, jakie czynniki dominować będą w życiu narodowym i kształtować naród. Chodzi o charakter kultury narodu w najgłębszym znaczeniu, jako zawierający w sobie te wszystkie pierwiastki, które przesycają materialne i duchowe życie narodu i nadają narodowi takie a nie inne oblicze.

Nie rozumią ducha czasów ci wszyscy, co chcą poczciwie jakiejś zgody tych dwu ruchów pragną kompromisowego rozstrzygnięcia walki o Nową Polskę. Nie zdają sobie sprawy z tego, że Nowa Polska nie może być dzieckiem mezaliansu dwóch wrogich ideologii. Co więcej, proces krystalizowania się tych ruchów trzeba energicznie przyśpieszać, bo Polska czeka na wielkie rozstrzygnięcia we wszystkich dziedzinach życia narodowego. Wierzymy bowiem w zwycięstwo ruchu narodowego. Kompromis byłby tu grzechem.

3.

O WSPÓLNY FRONT.

Do niedawna sztaby polityczne usiłowały poprowadzić do walki hufce partyjne w dawnej formie i pod dawnymi sztandarami. Ale ten coraz rosnący proces światopoglądowego podziału zmusza je do zmiany szyków. Narazie nie pękają jeszcze wiązania organizacyjne ugrupowań, — dekompozycja objęła wiązania ideowe. Charakterystycznym rysem w tej przemanie to rozłam sanacji na „lewe“ i „prawe“ skrzydło, rozłam, któremu uległa nawet tak zwarta grupa jak obóz legionowy.

Na nowy, radykalny ruch narodowy spada wielka misja: musi chwycić za sztandar i poprowadzić obóz narodowy do rozstrzygającej walki. Tego wielkiego momentu nie może zmarnować: jest ruchem, który z jednej strony najpełniej wyraża idee i ducha nadchodzących czasów, z drugiej nie ciąży na nim balast przeszłości. Za dużo wody upłynęłoby, nimby doszło do konsolidacji tych sił narodowych, którymi jeszcze kierują ludzie starej daty. Wbrew im, czy mimo nich zrobić to muszą nowe siły.

Dziś nowy ruch narodowy płynie jeszcze kilku korytami. Sprawą palącą to sprowadzenie tych strumieni w jeden nurt, by, dążąc do wspólnego celu, nie przeszkadzały sobie wzajemnie i nie podbijały nóg.

Naród bowiem musi widzieć w nowym narodowym ruchu ośrodek rosnącej siły, zapowiedź nowego ładu i wiarę wyjścia z chaosu.

Szerokie masy narodowe tego właśnie pragną.

Kult armii

Wytworzenie się w społeczeństwie polskim silnego i trwałego poszanowania dla własnej armii jest rzeczą ostatnich lat. W ciągu właśnie tych ostatnich paru lat naród polski z jednej strony docenił znaczenie obrony własnych granic, z drugiej zaś wzrosło wszędzie w Polsce tak w mieście jak i na wsi to konieczne przekonanie, że armia nie tylko nie jest żadnym ciężarem, ale że tworzy bezsporne wartości tężyzny fizycznej, dyscypliny i najlepsze wzory obywatelsko-żołnierskiego typu życia.

Słowa Józefa Piłsudskiego, który niegdyś powiedział, że nie zna kraju, w którym by tak mało było poszanowania dla własnego żołnierza jak w Polsce, giną w przeszłości i zapomnieniu i nie mogą chyba już odnosić się do teraźniejszości.

Jeśli tak znacznie już zmieniła się postawa wobec własnej armii, to tym bardziej wydaje się być rzeczą konieczną, by armia stała się przodowniczką narodu, a naród ten, którego trzon stanowią masy ludowe i pracownicze, musi mieć to uzasadnione przeświadczenie i poczucie, że armia dysponująca tak potężną siłą fizyczną i moralną nigdy nie będzie gwarantką wstecznego układu stosunków społecznych i gospodarczych i nie przeszkodzi w realizacji w Polsce ustroju opartego o sprawiedliwość społeczną.

Kult armii tworzy się nie tylko w duszach Polaków, ale i w ich przekonaniach o sprawiedliwości dziejowej, jakiej widomym znakiem jest Niepodległe Państwo Polskie. Proces narastania tych uczuć dla własnej armii odbywać się będzie w duszach polskich chłopów, robotników i polskiej młodzieży tym szybciej, im prędzej Polska zacznie się przetwarzać w zwarty organizm państwowy, rządzący się na wewnątrz zasadami sprawiedliwości wobec mas narodu, dziś jeszcze, z powodu nędzy ogromnej i nieudolności w przeprowadzaniu istotnych zmian w ustroju gospodarczym i rolnym, nie dość związanych z Państwem i nie raz, co nie daj Boże, niezainteresowanych w jego niepodległym bycie.

Wszystko zdaje się jednak wskazywać, że czynniki kierownicze armii posiadają doskonałe wyczucie rzeczywistości i że zdają sobie dobrze sprawę z niedopuszczalnego dalszego marnowania młodych polskich sił wsi i miasta, pozostających dziś jeszcze poza wszelką możliwością wywierania wpływu na bieg spraw Państwa i kierunek jego rozwoju.

I z tymi uczuciami Wielkiej Nadziei wszyscy Polacy łączą się w tych dniach, by witać najradośniej szare szeregi wojska, wracającego z dorocznych letnich manewrów.

Też znawcy Śląska

W ostatnim nrze „Polityki“ (dawniej „Bunt Młodych“) w art. „Notatki polityczne“ znajdujemy takie zdanie: „Śląsk, który mógłby wchłonąć z wielkim pożytkiem dla spolszczenia tej dzielnicy część nadmiaru sił roboczych Małopolski, stał się dzięki p. Grażyńskiemu, państwem w państwie i robociarz galicyjski tam pracy nie znajdzie“. Człowieka ogarnia zdumienie: nieuctwo to, czy zła wola. Przypuszczamy, że gafa. Panowie! nie polszcie Śląska, bo Śląsk w/g ostatniego spisu ludności jest najbardziej polskim województwem. Nie polszcie go elementem, z którym przed wojną tyle kłopotu miał ruch narodowy w Zagłębiu Karwińskim i na Śląsku Cieszyńskim: właśnie ten mało wyrobiony robotnik z b. Galicji stawał się pastwą germanizacji i czechizacji. Nie chciejcie pogłębiać, panowie z „Polityki“, antagonizmu dzielnicowego na Śląsku, który i tak tu jest głęboki i zwrócony głównie przeciw Małopolanom-urzędnikom, bo to bardzo niepolitycznie. A przede wszystkim nie sprowadzajcie na Śląsk tego nadmiaru sił roboczych Małopolski. bo tu pracy nie dostanie. Największe nasilenie bezrobocia przypada przecież na Śląsk. Przed kilku laty magistraty miast śląskich b. żywo interesowały się sprawą kolonizacji Kresów Wschodnich nadmiarem sił roboczych Śląska.

(c. d. na str. 2)

Naszym zdaniem

Dokończenie ze str. 1-szej)

W tym samym artykule o sytuacji w Małopolsce spotykamy jeszcze pochwałę p. Kapelnera-Kaplickiego, który według „Polityki“ jest jedynym politykiem naprawdę galicyjskim, który z tym „terenem“ nie zerwał, który ma jakieś, choćby niewielkie stosunki i wpływy. Proszę, kto to nie reprezentuje Małopolski. Wątpimy, czy Małopolska zgodzi się na takiego przedstawiciela swych interesów, ale nie wątpimy, że za takie wyawansowanie p. Kapelnera-Kaplickiego powinni Małopolanie porządnie nabić autora artykułu. Tylko w tym sęk, że się nie podpisał.

„NIEUZASADNIONY PROTEST“.

Senat „wolnego“ miasta Gdańska pozwolił sobie drogą przymusu i policyjnego terroru przenieść dzieci polskie z polskich szkół do szkół niemieckich. Gdańska ekspozytura hitleryzmu dopuściła się gwałtu na najświętszych uczuciach polskiej młodzieży i jej rodziców, dopuściła się pogwałcenia zawartych z Polską umów, powiedzmy otwarcie, dopuściła się zniewagi Rzeczypospolitej Polskiej.

Bo przecież Senat, sprawujący opiekę nad tym poronionym płodem powojennej sytuacji międzynarodowej, nad tym gniazdem Polską żyjących i tuczących się jej pracą hitlerowskich pasibrzuchów, pozwolił sobie odrzucić protest przedstawiciela Polski w tej sprawie, mówiąc o „nieuzasadnionych polskich roszczeniach“.

Czy jest do pomyślania, żeby do czegoś podobnego dopuściły u siebie np. Niemcy, czy do takich wyskoków dopuściłaby np. Italia lub choćby Czechosłowacja? Nie! Ani przez myśl nam to nie przejdzie. A mocarstwowa Polska nie potrafi się temu przeciwstawić i ogranicza się do „stanowczych“ protestów pana radcy.

I po co te bujdy o mocarstwowości, potędze, przedmurzu etc? Po co to mydlenie oczu oficjalnymi deklamacjami o mocarstwowej pozycji w Europie? Po co to wszystko, skoro Polacy są pariasami na własnej ziemi, skoro tolerują w imię nieodwzajemnionej przyjaźni wybryki byle chłystków, zakładających w Polsce niemieckie obozy lub przenoszących gwałtem polskie dzieci do niemieckiej szkoły.

Gdy czyta się o takich historiach, przypominają się mimowoli amerykańskie komedie z takimi scenami: kłóci się dwóch dżentelmenów, wreszcie jeden, wyczerpawszy wszystkie argumenty, umieszcza niezawodny cios na szczęce antagonisty i rozkłada go bezapelacyjnie; „przekonany“ w ten sposób przeciwnik podnosi się po chwili, podają sobie ręce, argument był skuteczny!

Dopóki nie ujrzymy takiego argumentu w stosunkach polsko-gdańskich, raz na zawsze wypraszamy sobie doprowadzanie spokojnych obywateli do białej pasji frazesami o mocarstwowości.

KRAKÓW — WARSZAWA — KATOWICE.

Ostatnio byliśmy świadkami odbywających się w Krakowie i Warszawie wielkich procesów, w których padały jak grad wielkie nazwiska w towarzystwie nie bardzo miłych komentarzy. Obecnie proces o podobnym charakterze zapowiada się w Katowicach. Ale zainteresowanie nim osłabło. Społeczeństwo zdaje sobie bowiem sprawę, że warszawski proces zakończył się tylko dlatego w ten sposób, że do grubych ryb zabrały się zbyt małe płotki. Podobna sytuacja będzie i w Katowicach. Gra będzie w każdym razie bardzo nierówna.

AŻ 40 NOTARIUSZÓW-ŻYDÓW

Niedawno prasa doniosła, że na Śląsku Opolskim zwolniono po wygaśnięciu Konwencji Genewskiej 40 notariuszy-żydów. Przecieramy oczy: jak to, w tak małej prowincji, jak Śląsk Opolski aż 40 notariuszy-żydów i to w państwie, liczącym przed przewrotem hitlerowskim coś tylko 600 tys. żydów na przeszło 60 milionów ludności. Ten fakt tłumaczy nam dużo. Tłumaczy, jak bardzo żydzi w Niemczech opanowali życie umysłowe, tłumaczy wreszcie tę nienawiść ruchu nar.-socj. do żydostwa. Opowiadał mi kiedyś jeden z dziennikarzy polskich, który dobrze znał stosunki w prasie niemieckiej w epoce „weimarskiej“, jak ciężko się było dostać młodemu Niemcowi do redakcji któregoś z większych pism, bo tak były mocno obsadzone przez przedstawicieli „narodu wybranego“. Przenieśmy tę proporcję na stosunki polskie, gdzie tylko na 30 mil. aryjczyków przypada przeszło 3 miliony żydów; smutny wniosek nasuwa się nam sam przez się!

Uwaga!

W związku z wydaniem kalendarzyka P. Z. Z. na rok 1938 który ma zawierać spis firm i przedsiębiorstw chrześcijańsko - polskich na terenie m. Chorzowa, zwracamy się tą drogą do zainteresowanych, by celem uniknięcia nieporozumień podali nam swe nazwiska i adresy do dnia 20 b. m., gdyż późniejszych zgłoszeń z powodu nawalu pracy nie będziemy mogli uwzględnić

Zgłoszenia należy adresować: P. Z. Z. pl. Marszalka Pilsudsk'ego 5.

*

HULOK HENRYK.

Oko za oko - ząb za ząb

Oświadczenie Syndydatu Dziennikarzy Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego wobec systemu niszczenia prasy polskiej w Niemczech wywołało powszechne, bardzo żywe zainteresowanie wśród szerokich mas społeczeństwa nie tylko na Śląsku, ale i w całej Polsce. Od kilka lat prowadzona przez Berlin i Warszawę polityka wywoływała u nas na Śląsku zawsze pewne zastrzeżenia, gdyż zdajemy sobie sprawę, że zawarty układ polsko-niemiecki o nieagresji był tylko manewrem politycznym ze strony odosobnionych w tym czasie Niemiec. Liczne oświadczenia antygermanizacyjne kanclerza Hitlera i innych dostojników niemieckich były i są niczym innym, jak tylko pustymi frazesami obliczonymi na efekt za granicą. Szykany wobec Polaków w Niemczech — a przede wszystkim na Śląsku Opolskim, wykazują dobitnie tendencyjną politykę wynaradawiania i germanizowania. Przyzwyczailiśmy się już dawno do tych wszystkich szumnych i wystawnych bankietów, na których wygłasza się „szczere“ mowy i wznosi toasty, ale nie przyzwyczaimy się nigdy do tego, aby pod pretekstem nieszczęsnego „paktu o nieagresji“ szykanowano i gnębiono naszych rodaków za kordonem, drwiono z naszej tolerancyjności i liberalizmu.

Młode pokolenie polskie żąda zmiany naszej polityki zagranicznej wobec Niemiec!

W czwartą rocznicę rewolucji nacjonal-socjalistycznej kanclerz Hitler wygłosił przemówienie, w którym m. in. oświadczył (cytujemy za Völkischer Beobachter“ z 31. I. 1937):

„Stałoby się pożytecznym dla popoju europejskiego, gdyby w traktowaniu narodowości, które jako mniejszości zmuszone są żyć wśród narodów, nastąpiło na wzajemności oparte uwzględnienie słusznych uczuć dumy i świadomości narodowej. To doprowadziłoby do głębokiego odprężenia pomiędzy państwami, które przez los zmuszone są do egzystowania obok siebie, a których granice państwowe nie pokrywają się z granicami etnograficznymi“.

Takiemu oświadczeniu nikt się z pewnością nie sprzeciwi. Ale pamiętajmy, że jest to tylko oświadczenie. Życie mniejszości narodowych — a przede wszystkim Polaków w Niemczech wykazuje jasno i wyraźnie dwulicową politykę narodowościową niemiecką.

Chcieliby z pewnością „opatrznościowi“ mężowie Trzeciej Rzeszy, aby mniejszość niemiecka za granicą korzystała z tych samych praw na równi z obywatelami tego czy innego narodu. Ich pobożne życzenia nie mogą być niestety spełnione, gdyż wyznawcom „Realpolitik“ musi być przeciwstawiona polityka oparta tylko i wyłącznie na wzajemności. Nie można żądać przywilejów dla swojej mniejszości narodowej, jeśli się u siebie wynaradawia i ogranicza elementarne prawa narodu, który jest zmuszony zamieszkiwać terytorium państwa niemieckiego.

Krzywdy wyrządzone naszym braciom w Niemczech muszą wreszcie ustać. Cierpliwość nasza się kończy! Nie możemy dalej spokojnie patrzeć, aby przeszło pół miliona Polaków, Katolików na Śląsku Opolskim miało tylko jednego księdza Polaka. Na studia teologiczne w Wrocławiu muszą być dopuszczeni Polacy, aby lud polski na Śląsku Opolskim miał swoich księży, którzy lud ten zrozumieją i dla tego ludu pracować będą. Nieustannie znosi się polskie nabożeństwa, śpiewy, nauki przygotowawcze dzieci polskich do komunii świętej itd. Organizacje polskie są narażane na nieustanne rewizje i tym podobne szykany ze strony władz niemieckich.

Na niedzielę, dnia 8. sierpnia br. został zorganizowany zjazd ogólny Zw. Polskiej Młodzieży Katol. na Śląsku Opolskim na Górze Świętej Anny. Zjazd należycie przygotowany nie mógł budzić żadnych zastrzeżeń ze strony władz niemieckich. A jednak w przeddzień zjazdu Związek Młodzieży otrzymał urzędowe pismo z zastrzeżeniem, że może odbyć się jedynie zjazd delegatów. Związek oczywiście zastosował się do tego. Mimo to podczas zagajenia zjazdu delegatów przez prezesa związkowego, przedstawiciele policji, którzy w stosunkowo dużej liczbie znaleźli się na sali, robili kierownictwu poważne trudności. Ale organizatorzy zjazdu byli przekonani, że policja nie doprowadzi do ostateczności.

W czasie przemówienia jednak kierownika dzielnicy I. Związku Polaków w Niemczech policja wkroczyła ponownie na salę, rozwiązała zjazd i zmusiła wszystkich obecnych do opuszczenia sali. Powyższy fakt nie wymaga chyba komentarza.

Związek Polskich Kół Śpiewaczych na Śląsku Opolskim nie mógł pomimo licznych i usilnych starań otrzymać w żadnej miejscowości na Śląsku Opolskim sali na urządzenie tegorocznego zjazdu śpiewaczego. Powstaje więc pytanie, w czym zawiniła młodzież polska na Śląsku Opolskim, że nie zezwala jej się na pielęgnowanie śpiewu narodowego i swobodne organiozwanie się? Przecierz wypełnia swoje obowiązki z racji obywatelstwa niemieckiego. Nikt jej nie może zarzucić tworzenia tajnych organizacyj, jak to czynią Niemcy w Polsce. Odpowiedź jest tylko jedna: Niemcy dążą systematycznie do wynarodowienia elementu polskiego.

Stosunek do ludności polskiej w Niemczech został zaostrzony przez systematyczne utrudnianie pielęgnowania narodowej odrębności, oraz stałe przeciwstawianie się w zaspakajaniu najprostszych nawet narodowych uprawnień, w dziedzinie kościelnej i religijnej, oświatowej i kulturalnej, społecznej i gospodarczej. Zupełnie wyraźnym przykładem germanizacji jest nowe ustawodawstwo niemieckie, które poprzez rozmaite instytucje przymusowo wciąga ludność do narodu niemieckiego. Wybitnie narodowo-niemiecki charakter tych ustaw jest dla ludności polskiej niebezpieczny i nosi wszelkie cechy ustawowej germanizacji.

Błędy dotychczasowej polityki polskiej w stosunku do Niemiec muszą być naprawione. Polska młodzież na Śląsku Opolskim nie może więc patrzeć obojętnie na los swych braci, na Opolszczyznę. Pamiętamy dobrze krzywdy nam wyrządzone w szkole pruskiej i dlatego powtarzamy: „Póki świat światem — nigdy nie będzie Niemiec Polakowi bratem“. Młodego polskiego pokolenia nie otumani żadne oświadczenie antygermanizacyjne ani żaden komplement bankietowy. Patrzymy na stosunki polsko-niemieckie nie z Warszawy ale tu ze Śląska, bo stąd lepiej widzimy. Na każdy gwałt na Polaka ze strony Niemiec musimy odpowiedzieć gwałtem. Niemcowi imponuje tylko siła — dlatego też siłą tylko wywalczymy Polakom za kordonem należne im prawa.

Polska młodzież śląska domaga się następujących zmian na polskim Górnym Śląsku: zniesienia nabożeństw niemieckich, zwolnienia urzędników niemieckich, nieudzielanie zezwoleń na żadne zjazdy organizacyj młodzieżowych i śpiewaczych niemieckich dlatego tylko, że znosi się nabożeństwa polskie, nie ma ani jednego urzędnika Polaka, a organizacje polskie nie mają swobody rozwoju na Śląsku Opolskim. Żądamy dalej likwidacji 100 dzienników niemieckich do liczby 4 — ponieważ w Rzeszy Niemieckiej wychodzą trzy dzienniki i jeden miesięcznik polski. W dziedzinie szkolnictwa: z 579 szkół powszechnych niemieckich i 27 szkół średnich niemieckich należy utrzymać tylko 65 szkół powszechnych i tylko jedno gimnazjum niemieckie z tej prostej przyczyny, że taki jest stan szkolnictwa polskiego w Niemczech. Należy dalej „zgleichschaltować“ wszystkie dziedziny życia zarówno społecznego, jak i gospodarczego na rozdzielonym granicą Śląsku, a po takim wyniwelowaniu terenu możemy spokojnie przystąpić do rokowań, tylko broń Boże... bez bankietów.

JAN BARANOWICZ.

Poverello

Nie chcę dźwigać habitu i łykowych ciżem,
ni się w Porciunkuli płaszczyć ciała krzy-
żem:
dobry mi ubiór świecki: — płaszcz, wygo-
da spodni
i codzienność; — przechadzka w brzezino-
wy chodnik — —

Korną przecie nowenną u glorii Twej
[illegible] — —
radości winogradem opłącz serca niszę;
stygmaty Bladych Dłoni jak liście akantu
na skroń złóż w benedykcji: — ioculator
sanctus — —

ZDZISŁAW OBRZUD.

Wiele hałasu o nic
(Jeszcze o „Przepióreczce“ Żeromskiego)

Niedawno temu pełno było w prasie literackiej o sztuce Zawieyskiego p. t. „Powrót Przełęckiego". Jedni atakowali autora sztuki, który postacie swoje zaczerpnął z „Przepióreczki" Żeromskiego, jako punkt wyjścia przyjął rozwiązanie akcji w sztuce swojego wielkiego poprzednika, jeszcze raz przemyślał problem „Przepióreczki" i dał mu własne, nowe rozwiązanie; inni brali w obronę autora „Powrotu". Nie będę tutaj omawiał sztuki Zawieyskiego. Uderzyło mnie to, że ani krytycy, ani obrońcy Zawieyskiego nie okazali krytycyzmu wobec sztuki Żeromskiego, choć przekomponowanie zasadniczego problemu „Przepióreczki" przez pisarza doby dzisiejszej do ponownego, a krytycznego przemyślenia dzieła Żeromskiego wprost prowokowało.

„Przepióreczka" należy do tych utworów Żeromskiego, które miały „dobrą prasę" Każdy się nią zachwycał: zarówno rozmiłowany w tradycji Grzymała-Siedlecki, jak i sprawozdawca oficjalnie czerwonego „Robotnka". Razem z „Wierną rzeką" okrzyczano ją jako najlepsze dzieło autora „Dumy o hetmanie". Znani krytycy zachwycali się mniemaną mocą duchową bohatera tragikomedii Żeromskiego, śpiewali hymny na cześć jego „poświęcenia", uznali sztukę za świetną szkołę wzniosłego, a specjalnie naszego: „polskiego idealizmu". Jako sztukę o wybitnych wartościach wychowawczych, włączyli nawet nasi miarodajni pedagogowie „Przepióreczkę" do lektury dla młodzieży gimnazjalnej.

Nie należę wcale do złośliwych „pomniejszycieli olbrzymów", a Żeromskiego zaliczam nawet do najwybitniejszych pisarzy świata. Uważam, że autor „Popiołów" to poeta i pisarz bynajmniej nie mniejszej miary niż ogólnie znani: Dostojewski i Tołstoj; — to pisarz, któremu w osiągnięciu światowych laurów pisarzy rosyjskich przeszkodził jedynie nieszczęsny „defekt polskości", fakt, że przejęty do głębi duszy sprawami i nędzami Polski niewolnej, ciągle w swych utworach te wyjątkowe biedy ojczyste poruszał i zgłębiał, z maniackim już dla obojętnego cudzoziemca uporem. Już w roku 1926, w „Kurierze Lwowskim" pisałem, w czym należy dopatrywać się istoty duszy Żeromskiego, i oddałem należny hołd autorowi „Arymana", jako rewelatorowi zagadkowości i patosu życia i poecie jego tragicznych przeciwieństw. Ale należny wielkiemu pisarzowi szacunek, nawet zachwyt wobec jego wspaniałego daru ekspresji, nie powinien uniemożliwiać postawy krytycznego badacza i dlatego nie mogę milczeć, gdy słyszę peany zachwytów nad dziełem, któremu nie mogę odmówić pewnych zalet scenicznych, które jednak uważam za dzieło nic nowego w swoim czasie w dorobku autora „Ludzi bezdomnych" nie przynoszące i na ogół... dość poronione. Recenzenci, którzy, jako dogmat przyjmując wysoką wartość „Przepióreczki", zaatakowali Zawieyskiego w imię nienaruszalności świetnego jakoby dzieła i czynili autorowi „Powrotu" zarzuty, iż fałszywie interpretuje postać Przełęckiego, niepotrzebnie z wielkich armat strzelali na wróble. „Przepióreczka" nie należy wcale do najlepszych dzieł Żeromskiego. Zbyt wiele tu było hałasu o nic...

Już Bohdan Korzeniowski w krótkiej recenzji w „Pionie" z 7 grudnia r. 1935 słusznie zauważył, że uniżenie nauczyciela Smugonia wobec wspaniałego docenta-społecznika, który mu zabrał serce żony, może być zrozumiałe chyba u nauczyciela wiejskiego epoki pańszczyźnianej, ale nigdy u nauczyciela Polski współczesnej. Stwierdził także, że bohater sztuki Żeromskiego to także jeden więcej „jasny pan" wczorajszej Polski, który „łaskę robi chamowi"... W ogóle cała atmosfera tragifarsy Żeromskiego i romantyczna socjologia autora nie wytrzymują krytyki. Całokształt stosunków społecznych w „Przepióreczce" wykazuje swoistą manierę autora „Ludzi bezdomnych". Jest tu bohater-zbawca, jedyny i niezastąpiony, który sam jeden za wszystko jest odpowiedzialny i który usuwa z swej drogi kobietę, groźną przeszkodę w drodze do męki ofiarnej i... świętości... Jest „sprawa ludu", dla którego się pracuje, czy planuje tylko pracę, który jednak sam jest tylko zaznaczony w sztuce i którego się nikt o zdanie nie pyta... Jest nawet i histeryczna księżna pani, ofiarująca swe kapitały rzeźkiemu docentowi, jak w bajce dla poczciwego ludu w epoce chłopomaństwa i... chłopokupstwa...

Osią akcji utworu jest sprawa regionalnego uniwersytetu ludowego wraz z instytutem badawczym, który dzięki pomysłowości oraz energii młodego docenta fizyki i pomocy finansowej durzącej się w fizyku księżny otrzymuje podstawy swojego bytu. Autor uważa ten zakład w Porębianach za instytucję, która przekształci zupełnie życie włościan cołej okolicy, istnych cudów dokona. Tę wiarę autora podzielają również krytycy. Pomińmy już to, że zbyt wielkie słowa padają ze sceny z racji takiego instytutu oświatowego; że tak dobrze autor, jak i zasugerowani krytycy mocno przeceniają znaczenie takiego zakładu, który obejmuje zwykle tylko niezbyt wielką część młodzieży wiejskiej i który u nas, na tle skandalicznie niskiej stopy życiowej ogółu wieśniaków, nie może odegrać tak wybitnej roli, jakby się to stać mogło w innych warunkach społeczno - gospodarczych! Brak realizmu społecznego i naiwność socjologizowania autora „Przepióreczki" ujawnia się także w tym, że on ciągle wierzy, iż jeden tylko człowiek, bez oparca o jakąś grupę społeczną, może wiele zdziałać w społeczeństwie. Przejawia się tutaj znana nam już dobrze, zarówno z naszej literatury jak i z naszego życia politycznego, romantyczna wiara w jednostki wodzowskie i romantyczny kult indywidualności. Kult jednostek czołowych: kult bohaterów jest naturalny i przynosi korzyści. Wiemy, że historię i cywilizację tworzyły i tworzą zawsze jednostki wybitne i niewielkie grupy z ich otoczenia. W **świadomą** „wolę ludu", w „rządy ludowe" i w twórczość masy ludowej wierzą dzisiaj już chyba tylko bardzo niedowarzeni chłopcy. Wiemy jednak także, że te wybitne jednostki i szczupłe ale energiczne grupy tworzące historię, które dzisiaj często nazywa się grupami „elitarnymi", tylko wtedy głębszy wpływ wywierają i trwalszymi owocami swej działalności poszczycić się mogą, gdy działają w oparciu o jakąś żywotną wielką grupę społeczną, gdy wyczuwają potrzeby mas ludowych, których sam lud sobie jasno nie uświadamia, i w ten sposób, narzucając nawet swą wolę masie, przecież reprezentują lud, naród, czasem ludzkość całą. Wiemy również, iż musi się znaleźć i zorganizować pracę grupa ludzi społecznie wyrobionych, którzy są zdolni zasadniczą ideę wodza przemyśleć w różnorakich szczegółach szarego codziennego życia i pracę wodza kontynuować, jeśli go nie stanie, nawet jego dzieło przekształcić, jeżeli warunki zmienione tego wymagają. Bez tego pierwastka współdziałania wysiłek jednostki bohaterskiej uderza w próżnię. Tak dobrze faszyzm, jak i hitleryzm, podkreślają kult jednostki wybitnej, kult „wodza" i głoszą rządy elity, starają się nawet elitę wychować. A jednak i te współczesne ruchy hierarchiczne, w których romantyczny i niedemokratyczny kult pomazańców tak ważną rolę odgrywa, to nie są ruchy, któreby nie troszczyły się o potrzeby masy ludowej i rządziły wbrew ludowi. Mussolini i Hitler wyrośli i ważą tak bardzo w życiu swoich narodów, bo działali ze środka aktywnej grupy społecznej i są nie tylko poskramiaczami i mentorami swoich plemion, ale także wyrażają ich istotne tęsknoty i dążenia.

W sztuce Żeromskiego Przełęcki opuszcza swój posterunek pracy społecznej i obowiązek pełnienia misji przelewa na nauczyciela Smugonia, męża kobiety, od której miłości ucieka. Smugoń nie był zbytnim entuzjastą instytutu organizowanego przez docenta i tylko dlatego, że Przełęcki nie odbiera mu żony, postanawia dołożyć wszelkich starań w pracy mu powierzonej. Tenże sam Smugoń — według autora — sam jeden zdolny jest udaremnić wszelką pracę w Porębianach. A więc znowu jednostka, nie pozostająca w związku z grupą społeczną, — np. z kolegami zawodowymi, — wszystko może i o wszystkim rozstrzyga. I to taka jednostka, którą tylko wzgląd natury osobistej popycha do pracy społecznej! Wątpimy, czy praca człowieka, któremu jedynie strach przed utratą żony nakazał pracować, wyda owoce pożądane. Słyszymy w sztuce wzniosłe deklamacje, o jakiejś specjalnej misji, autor sugeruje nam ofiarę swojego rezonera, każe mu przelewać siłę na innego, ale to wszystko nie przekonywa widza, który nie ulega łatwo sugestiom i psychozie. Przy całej deklamacji na temat pracy społecznej, brak tu prostego zrozumienia faktów, że praca społeczna jest właściwie obowiązkiem wszystkich, a nie jakąś specjalną misją świętych narodowych, że praca nad oświatą ludu jest głównym zadaniem nauczyciel: i że ludowi sporo się należy od warstwy, która tyle lat jego kosztem żyła (Zauważył już to jeden z recenzentów, że Przełęcki to niewątpliwie człowiek pochodzenia szlacheckiego). Zasadnicza nieproduktywność i tragiczne zakłamanie pewnego typu t. zw. „społecznikostwa" naszego z końca XIX i początku XX wieku przejawia się w tej bajce o ofiarnym docencie, nie po raz pierwszy w twórczości Żeromskiego. Jeżeli istotnie, — jak chce jeden z recenzentów „Powrotu Przełęckiego", — Zawieyski pojął Przełęckiego jako upiora literackiej, papierowej mitologii socjalizujących pięknoduchów, to ma stuprocentową rację. Żaden **prawdziwy** działacz społeczny nie postępuje tak, jak bohater „Przepióreczki". To tylko gesty działacza i wodza i tylko poza szczytnej ofiary, tak modna u nas od czasów romantyzmu. Tylko niesamowita magia talentu autora „Popiołów", przy dobrej grze wybitnego artysty w teatrze, każe nam przez chwilę wierzyć, że to wszystko prawda...

Z punktu więc widzenia socjologicznego, nasuwają się po dojrzałej rozwadze zastrzeżenia co do postaci Przełęckiego i jego postępowania. Ale gorzej, że cała psychologia bohatera „Przepióreczki" nas nie przekonywa. To jest błąd zasadniczy. Rozumiemy to dobrze, że nie trzeba wcale w dziele sztuki naturalistycznej „wierności", wemy, że sztuka w swej istocie jest symboliczna i rządzi się swoimi prawami konstrukcji. Bohater komedii Żeromskiego może coś mówić i robić, czego by realny Przełęcki nie uczynił. Ale zasada jego duszy musi być zgodna z psychologią jakiegoś żywego człowieka i jego sylwetka psychiczna nie może mieć zbyt zamazanych konturów, jeśli kreacja poety ma nas przekonywać. Tymczasem Przełęcki nie rysuje się wyraźnie, ani jako przywódca społeczny, ani jako kochanek, ani jako kolega. Do końca sztuki nie jesteśmy pewni, co w nim przeważa : czy miłość swego dzieła i poczucie obowiązku, czy też może tęsknota za kobietą i chęć wyżycia się erotycznego; nie jesteśmy pewni, czy opuszcza Porębiany dla dobra swojego dzieła, czy też ucieka poprostu przed trudnościami, których opanować nie umie. Oczywiście takie problematyczne natury zdarzają się w życiu, nie są nawet rzadkie wśród naszej warstwy wykształconej; — ale Żeromski wiele zrobił, aby w nas wmówić, że Przełęcki to człowiek mocny i jednolity! Ofiara Przełęckiego, — którą się tak zachwycano, — to absurd psychologiczny. Że się wycofuje, że ucieka przed miłością mężatki i przed miłością, która dzieło pospólne zepsuć może, — to jest zrozumiałe i to się zdarza. Ale że się decyduje w oczach ukochanej kobiety uchodzić za cynika i łotra, — to jest mocno nieprawdopodobne. Cała ta komedia, którą Żeromski każe grać swemu bohaterowi wobec Smugoniowej, to niemożliwie już wzniosłe jego samooskarżenie, budzi sprzeciw w człowieku, któremu książki nie przesłaniają życia. Przełęcki nie przekonywa: za wiele w tej postaci papieru i atramentu.

Tak samo poważne wątpliwości budzi postać psychiczna Smugonia. Mówiło się już o tym, że Smugoń zachowuje się jak ciemny chłop pańszczyźniany, nie jak oświecony nauczyciel państwowej szkoły w nowoczesnym państwie. Ale cały jego stosunek do żony, zakochanej po uszy w innym, i do pięknego docenta, który zabrał mu, oczywiście na zawsze, serce tak bardzo kochanej małżonki, jest bardzo dziwny. Błaga on szczęśliwego rywala, aby mu żony nie odbierał... Mężczyzna, który by istotnie w ten sposób postępował w takiej sytuacji, musiałby być wielkim niedołęgą i tchórzem, albo... skończonym idiotą. Wszyscy nieliteraci, z którymi na temat „Przepióreczki" rozmawiałem, byli tego samego zdania. Tylko zawodowi krytycy i recenzenci tego psychologicznego absurdu sztuki Żeromskiego nie zauważyli. Może więc rację mają ci złośliwcy, którzy utrzymują, że literaci to ludzie papierowi, bez krwi w żyłach, którzy odbiegli od miąższu i powagi życia?... Ciekawe, że Żeromski, taki świetny skądinąd znawca miłości (:„Popioły", „Dzieje grzechu", „Wierna rzeka", „Uroda życia", „Walka z Szatanem"), zapomniał w „Przepióreczce" zarówno o tym, że mężczyzna, któremu odebrano miłość na prawdę kochanej żony reaguje trochę energiczniej niż Smugoń, jak i o tym, że, skoro miłość umarła, to żadne lekarstwo już jej nie przywróci. Skoro uroczy docent wziął już raz w jassyr duszę Smugoniowej, to już nic tej duszy mężowi nie wróci; Przełęcki na zawsze pozostanie dłużnikiem Smugonia, a Smugoń zawsze będzie o nim myślał z odrazą, jako o tym, co zakłócił jego szczęście rodzinne. Smugoniowa może Przełęckiego znienawidzieć, skoro podeptał jej uczucie; — męża jednak już kochać nie będzie.

Etyka Przełęckiego, którego autor i recenzenci mają za wzór cnoty, także musi po głębszej rozwadze wywołać zastrzeżenia. Przełęcki staje przed dylematem: kobieta, czy dzieło społeczne, które musiałoby upaść, gdyby wybrał miłość kobiety.

Wybiera obowiązek społeczny. Stary to, dobrze nam znany schemat Żeromskiego. Ale przeocza się, że ten sam Przełęcki, w którym tak silnie zdaje się tkwić poczucie obowiązku społecznego, żadnych skrupułów nie ma wobec męża kobiety, która go pokochała. Żeromski tak rzecz przedstawia, że jego bohater nie bierze pod uwagę krzywdy wyrządzonej Smugoniowi i w ogóle niewiele się troszczy o pomyślność pożycia małżeńskiego Smugoniów; li tylko wzgląd na pracę oświatową w Porębianach odwodzi go od pokusy uwiedzenia żony nauczyciela. Ten, kto zdaje sobie sprawę z rozmiarów upadku moralnego naszej warstwy wykształconej na przełomie wieków XIX i XX, z jej zasadniczej wady: słabości charakteru; kto właściwie ocenia niepomierne kabotyństwo i brak kośćca wielu naszych teoretycznych radykałów tejże doby, — rozumie, że jasny sąd pisarza o wielkim sercu przyćmiła niezdrowa atmosfera epoki i środowiska, w którym żył i działał. Kto wie, jak różne obowiązki społeczne się o siebie w praktyce życia zazębiają i docenia rolę rodziny w życiu społeczeństwa, ten nie łudzi się, że można być świętym w dziedzinie życia społeczno - narodowego, a równocześnie cynikiem w pożyciu rodzinnym, bezwzględnym niszczycielem cudzego spokoju rodzinnego.

Ale i kompozycja sztuki nie jest bez zarzutu. Pierwszy akt daje charakterystyczne, już nieco w sposób farsowy przerysowane postacie profesorów; akcja w nim jest żywa, panuje nastrój lekkiej komedii, wpadającej już w ton farsy w swym groteskowym ujęciu światka profesorskiego. Widz w teatrze bawi się dobrze i nastawia się na dowcipną, nie pozbawioną ostrza satyrycznego komedię. Ale w drugim akcie już ten nastrój się zmienia. Sztuka traci cechy komediowe i satyryczne, autor zagubił

(Ciąg dalszy na str. 4-ej)

WILHELM SZEWCZYK

Rozważania niesentymentalne

(Na marginesie art. kol. A. Targa „Ukraiński szowinizm")

Miałbym ochotę posprzeczać się z kol. Targiem o pojęcie szowinizmu. Szowinizm bowiem jest niczym innym jak przesadnym patriotyzmem. Ale tak się już utarło, że wyraz szowinizm przenosimy nie tylko na pojęcie wybujałego patriotyzmu, ale wręcz na patalogiczne właściwości tego patriotyzmu. Gdy tymczasem szowinizm jest właśnie odznaką tężyzny danego narodu i jego zdolności do samoistnego bytu (proszę porównać nasz szowinizm w okresie przedpowstaniowym na Śląsku). Ale nie to wszystko jest istotne. To jest tylko kwestia takiej czy innej nazwy dla danego zjawiska.

Idzie mi o coś innego. O to, że szowinizm ukraiński (w znaczeniu wyżej sformułowanym) istnieje, że podchodzić do niego trzeba zupełnie inaczej i z zupełnie innym nastawieniem.

Zgadzam się z autorem, że w kwestii ukraińskiej nie mamy żadnego programu. Ba — nie mieliśmy go już w r. 1919, kiedy sprawa ukraińska spędzała sen z powiek wielu polityków. Już wtedy pisał A. Skwarczyński: „Programu żadnego nie ma, są tylko hasła, są szczątkowe ideje. które z dalekich czasów pochodzą, ale dzisiaj jakby wykorzenione zostały, nie żyją, nie puszczają pędów i liści..."[1]) Bezprogramowość w tak żywotnej kwestii, jaką jest ukraińska, wzmacniała jedynie ukraińskość na Kresach. Czasem zdarzał się jakiś program. Przychodził z nim prowincjonalny kacyk-starosta, człowiek będący niejednokrotnie na żołdzie kultury rosyjskiej, w której wyrósł i której część oddawał zawsze. Czasem przychodził jakiś „prometeusz", czasem zwolennik idei Jagiellońskiej. Eksperymentował na kwestii ukraińskiej kto chciał i kto mógł. Przeważnie jednak do roboty tej przychodzili ostatni dranie, kompletni idioci, którzy, idąc na ustępstwa Ukraińcom, dziwili się, że mimo to tak trudno ich pozyskać dla polityki polskiej. Osobna wzmianka należy się ludziom z pod znaku loży masońskiej „Jednanie", którzy w kwestii ukraińskiej mieli niestety najwięcej do powiedzenia i najwięcej tragicznych błędów popełnili. „Loża bowiem i jej ludzie stanęli na stanowisku nadnarodowym, przy którym jedni zaczęli uprawiać politykę polonizacji, całkowicie utopijnej w dobie nacjonalistycznych ruchów XX w., drudzy przeżywali wewnętrzny rozkład duchowy, doprowadzający kontrahentów do roli bezwartościowych politycznie ajentów"[2]). Wszystkie stronnictwa czy też poszczególne osoby, bezpośrednio zainteresowane w kwestii, były opętane prostym, ordynarnym cynizmem. Bo wierząc święcie w skuteczność swego bezpłciowego programu, strzegąc go jak jakieś wszechmocne tabu, marnowali zupełnie świadomie czas na poszukiwanie nowych płaszczyzn, na których rozwiązanie kwestii ukraińskiej było by na prawdę możliwe. Marnowali świadomie... A jeżeli nieświadomie (takie głosy się podnoszą), to dane stronnictwo czy dana osoba nie dorosły do reprezentowania polskiej myśli politycznej na Kresach. Czasem można było się spotkać z wypadkiem jawnego uporu (stara chadecja ze swą absolutną negacją potrzeb życiowych narodu ukraińskiego), uporu przechodzącego we wściekłą desperację, dyktującą środki co najmniej brzydkie w kulturalnym państwie jak n. p. osławione szczucie Ukraińców na Żydów i odwrotnie. Dość, że programu nie było i nie ma. Któryż naród nie wykorzystałby takiej koniunktury politycznej, aby nie postawić się na nogi? A wiadomo, że takie postawienie się na nogi na terenie obcego państwa jest zwycięstwem ogromnym, mogącym mieć dlań nieopisanie tragiczne następstwa w chwilach najbliższego kataklizmu wojennego. Ukraińcy nie są głupcami. Są narodem zdrowym i chcącym. Dlatego umocnili się na różnych polach życia. Ukraińcy nie są niedołęgami.

Nastąpił okres t. zw. normalizacji. Był to okres, w którym Polacy dowiedzieli się, że mniejszość ukraińska żyje wybujale i próby normalizacji nie będą stanowić dla niej żadnego pożądanego efektu. Przyjrzano się bliżej pracy Ukraińców i ogarnął wszystkich przestrach. Polacy nigdy bowiem tak nie pracowali i nie pracują.

I tutaj powracam do wywodów kol. Targa, z których wynika jasno i niedwuznacznie, że walka z szowinizmem ukraińskim powinna być również przepojona szowinizmem (tym w znaczeniu kol. Targa), że na terror trzeba odpowiedzieć terrorem. Wiemy, że takie stawianie sprawy może pociągnąć wielu za partią czy ruchem, który je reprezentuje. Ale jest ono również wodą na młyn przesadnego nacjonalizmu, jest ono burzliwą rzeką, która coraz więcej oddala od siebie już i tak skaliste brzegi, że coraz trudniej przerzucać mosty. Dochodzi do tego, że owszem, dziecko ukraińskie pójdzie do polskiej szkoły, że Łemkowie dla „zamanifestowania" swej „polskości", owszem, zakupią dla armii polskiej działo (czyż to nie wstyd), że brak napisów dwujęzycznych, owszem, usunie niemiły fakt zewnętrznego istnienia narodowości, z którą się bądź co bądź trzeba liczyć. Tylko głupiec się będzie cieszył, że w ten sposób wzmacnia się polski stan posiadania na Kresach. Tylko głupiec... Bo w rzeczywistości to będzie tylko politura o tyle groźna, o ile pozwalająca nam przymknąć oczy na wiele rzeczy, które są i to są sprawą narodowego sumienia ukraińskiego. W ten sposób idziemy prostą drogą ku nowej Chmielniczczyźnie. A walka z tym wszystkim musi być godna wielkiego narodu i taką może być tylko jedna:

Trzeba przeciwstawić potędze ukraińskiego życia narodowego potęgę polskiego życia narodowego. Bo „nie napór ukraiński i rozwój życia ukraińskiego, lecz brak równoległego rozwoju czynnika polskiego stwarza nową proporcję w ukraińskim i polskim stanie posiadania, przy czym na niekorzyść strony polskiej" — jak stwierdza z wyjątkowo bystrym obiektywizmem Wł. Bączkowski[3]). Idzie po prostu nie o terror, jakby tego chciał kol. Targ, ale o zdrową ekspansję gospodarczą, kulturalną i polityczną. Do tego prowadzi jedna droga: 1) wysyłać na Kresy Wschodnie ludzi, którzy wiedzą, co znaczy inicjatywa narodowa i 2) pchnąć masy polskie z mielizny inercji na wartkie wody twórczości narodowej. I tu znów powracamy do sprawy programu. Program jest konieczny. Ale oparty jedynie na takich podstawach, które dadzą pełną gwarancję uczciwości w zwycięźaniu. Obecnie, kiedy stoimy w obliczu konsolidacji narodu, dopominamy się również o konsolidację programów na odcinku ukraińskim. Jeden program jednolitego narodu potrafi uzgodnić wiele rzeczy, potrafi zrozumieć potrzeby kulturalne drugiego narodu, co tak ciężko przychodziło i przychodzi różnym hiperpatriotom, potrafi również wytłumaczyć Ukraińcom wiele rzeczy, których przy obupólnym zacietrzewieniu narodowym dojrzeć nie podobna.

W końcu swych wywodów kol. Targ twierdzi, że zgoda i współżycie z ukraińcami na dalszą metę są absolutnie niemożliwe. W takim rozumowaniu można by się dopatrzeć prostej bezchciowości, złej woli i upraszczania sobie zawiłej kwestii ukraińskiej. Bo najłatwiej jest powiedzieć: ja się z tobą nie pogodzę. A chodzi przecież o to, aby się właśnie pogodzić, tylko, że tu już trzeba myśleć j a k a poco sobie przyczyniać kłopotu. Nigdy bym nie posądził kol. Targa o taką łatwiznę w rozumowaniu, nie chcę również widzieć w tym wykorzystywania naszego szczęśliwego stanowiska (mamy wolne państwo, a więc i wszelkie możliwe środki walki), sądzę raczej, że takie kategoryczne stwierdzenie nasunęło się autorowi pod wpływem paru wypadków ukraińskiego terroru, omówionych na wstępie swego artykułu. Właśnie, właśnie... Tu trzeba się wyzbyć uprzedzeń, choćby nawet słusznych, a rozpatrzyć sprawę w płaszczyźnie dalszej. Bo zgoda jest konieczna. I wolne państwo ukraińskie też. Ono bowiem będzie najważniejszym atutem w rozgrywce dwóch imperializmów: rosyjskiego i polskiego.

Resumuję: Wielkości Polski na Kresach można strzec jedynie programem poważnym. Bo terror, walka bezwzględna i mówienie o niemożliwości zgody polsko-ukraińskiej to są rzeczy niepoważne (przepraszam za ten zwrot kol. Targa) i w stosunku do Ukraińców chybiające celu. I takie rozumowanie nie jest oparte na jakichkolwiek przesłankach ukrainofilskich, o co dziś najłatwiej można być posądzonym. To są rozważania niesentymentalne i sankcjonowane jedynie wielkością Państwa Polskiego na Kresach.

---

1) „Rząd i wojsko" z dn. 9 lutego 1919 r. art. „W sprawie polskiego programu".

2) „Biuletyn polsko-ukraiński" z dn. 22 sierpnia 1937 r. art. W. Bączkowskiego pt. „Idziemy ku nowej chmielnicczyźmie".

3) „Biuletyn polsko ukraiński" z dn. 16 lutego 1936 r.

(Dokończenie ze str. 3-ej)

swój uśmiech humorysty z pierwszego aktu; solidaryzuje się już teraz zupełnie z swym cudacznym bohaterem. Powraca typowa dla Żeromskiego, nieco zbyt histerycznie przez niego ujmowana, „tragedia męża i niewiasty", traktowana bardzo patetycznie, na koturnach. Wraca nastrój „cierpiętniczy", tak typowy dla pierwszych utworów autora noweli pod znamiennym tytułem „Rozdziobią nas kruki, wrony"..., i komedia, czy farsa, zmienia się w łzawy dramat, melodramat, który przypomina mocno „cierpiętnicze" powieści i nowele młodego Żeromskiego. Dzieło na skutek tego nie czyni wrażenia jednolitej bryły i razi dziwnym pomieszaniem dwu stylów, tą nagminną chorobą nordyckich i wschodnio - europejskich twórców. Każdy, kto odczuwa potrzebę jasnej i harmonijnej kompozycji w dziele sztuki, musi wyczuć, że „Przepióreczka" ma zasadniczą wadę konstrukcyjną i że, — mówiąc słowami Crocego, — dzieło to nie jest identyczne samo z sobą.

„Przepióreczka" musi po dojrzałym rozważeniu wszystkich „pro" i „contra" wywołać niejedno zastrzeżenie, — tak dobrze jako dzieło sztuki poetyckiej, jak zarówno i jako obraz życia społecznego. Że, mimo swoich wad, podoba się, że może sugerować pewne myśli, nastroje i złudzenia, — to sprawa wielkiego talentu jej twórcy. Raduje widza w teatrze pierwszy akt z wyrazistymi karykaturami profesorów; magia uwodzicielskiego słowa poety w aktach następnych wielu widzom i czytelnikom każe zapomnieć o sztuczności charakterów, nieprawdopodobieństwach akcji i niejednolitości stylu dzieła. Że jednak krytycy literacy uznali „Przepióreczkę" za dzieło doskonałe, a pedagogowie włączyli ją do lektury szkolnej, — to wszystko świadczy chyba o tym, że ciągle jeszcze powierzchowność i frazes święcą u nas tryumfy. Ciągle jeszcze zachwycamy się naszym tak zwanym **„społecznikostwem"**, — nie rzetelną **pracą społeczną** — i stwarzamy papierowe ideały zbytecznych zupełnie, nie mających zresztą wcale odpowiedników w życiu niby - poświęceń, gdy w istocie do szarej, a odpowiedzialnej pracy codziennej ludzie się nie kwapią. Ciągle się zjawiają u nas różni „zbawcy ludu", gdy tymczasem temu ludowi nie jest wcale lepiej. Zakłamana opinia chorej warstwy ogłosiła arcydziełem sztukę pisarza wielkiego i dobrymi chęciami owianego, ale wykazującego na swej duszy również chorobę całej warstwy.

* * *

Ruch literacki Białorusinów

Białorusini są mniejszością mało aktywną i mało produktywną. Przypisać to chyba trzeba małemu uświadomieniu narodowemu.

Młoda inteligencja białoruska zaczyna jednak powoli odrabiać tyloletnie zaniedbanie na różnych odcinkach życia narodowego. Zaczyna się to szczególnie objawiać na polu literackim. Młodzi literaci białoruscy grupują się koło kwartalnika „Kałośse" w Wilnie. Pismo to, doskonale redagowane, przynosi również wiele wiadomości o życiu kulturalnym Białorusinów w innych krajach. Pod wielu względami przypomina kwartalnik ukraiński „My".

Wiele miejsca poświęca pismo sprawom polskim. N. p. w ostatnim n-rze (3) czytamy dobry artykuł Cypriana Krasowskiego p.t. „Niawedami biełaruski pajet", gdzie autor z ogromną bystrością przedstawia nam kręgi polskie, w jakich obracał się poeta Fr. Sawicz. Jeden z najzdolniejszych młodych poetów białoruskich, Maksim Tank, wydał ostatnio dwa tomiki poezyj. Pierwszy p. t. „Żurawini ćwet" zawiera przeważnie lirykę, w tym bowiem dziale Tank ma dużo do powiedzenia. Drugi przynosi na prawdę piękny poemat „Naracz". Mistrzowskie wyzyskanie oryginalnej formy, liryka bliska nam przez swe pokrewieństwo z „Panem Tadeuszem", nowy, śmiały zakres treści — wszystko to poemat Tanka stawia na wyżyny prawdziwej poezji. (Wyjątki z pierwszego przekładu tego poematu na język polski zamieścimy w „Kuźnicy"). Pozatem wyszedł zbiór poezyj Michasia Wasilka („Z sialańskich niw") oraz Michasia Maszary („Z nad strech sałamianych").

Białorusini nie poprzestają tylko na akcji wydawniczej. Urządza się również wieczory literackie, wieczory autorskie itp. Ruch literacki Białorusinów wnosi w życie tego narodu nowe pierwiastki odżywcze. Dla idei Polski narodowej jest on niegroźny a przez swe wyraźne pokrewieństwo z kulturą polską staje się jednym z pól ekspansji polskiej kultury narodowej.

M.

Życie teatru

Nowy sezon teatralny w Katowicach

Stoimy u progu nowego sezonu teatralnego na Śląsku, sezonu, który otwiera 15-ty rok działalności polskiego teatru na wyzwolonych ziemiach Śląska. I jest to już drugi sezon pod wielkim patronatem Stanisława Wyspiańskiego.

Poprzedni sezon nie spotkał się z uznaniem i nie dawał zadowolenia. Sukcesy artystyczne były rzadkie. „Wyzwolenie", „Dama kameliowa"-oto dwie najlepsze pozycje repertuaru w ubiegłym sezonie. Przewaga sztuk obcych, najczęściej bardzo słabych, również nie może być poczytywana za zasługę.

Ale nie o tym trzeba dziś mówić. Teatr zaczyna bowiem nowy okres działalności, na który trzeba spojrzeć bez oglądania się na popełniane poprzednio błędy i niedociągnięcia. I spojrzeć trzeba życzliwie. Doczekaliśmy się bowiem w nowym sezonie realizacji dwóch zasadniczych postulatów: repertuaru polskiego i reformy zespołu. Pomimo wszystkie narzekania na poziom polskiej twórczości dramatycznej zdecydowano się oddać jej cały jeden sezon. Uznać to należy za pociągnięcie ze wszech miar pożyteczne i śmiałe. Być może, że repertuar, który ujrzymy w tym okresie na naszej scenie nie zawsze nas zadowoli, ale lżej nam będzie na sercu na myśl, że na ewentualnych „klapach" kształcą się nasi pisarze i że nie wyrzucamy za głupstwa pieniędzy za granicę. Warto nadmienić, że podobną próbę podjął w ubiegłym sezonie Teatr Popularny w Łodzi, że podobnymi dążeniami odznacza się od kilku lat działalność Ivo Galla. Obecnie ze sceny katowickiej przemówi polska twórczość dramatyczna. Przemówi nie tylko słowem natchnionym Wyspiańskiego czy Słowackiego, ale przede wszystkim przemówi sztukami pisarzy współczesnych. Zrealizowane będą bowiem sztuki Jarosława Iwaszkiewicza, Zdzisława Marynowskiego, Marii Jasnorzewskiej, L. H. Morstina, K. Leszyckiego i da Bóg, że jeszcze innych. Pojawią się ponad to prapremiery sztuk nagrodzonych na konkursie teatralnym.

Ten program działalności, jaki zakreślono w dotychczasowych na ten temat enuncjacjach, jest tylko częściowy. Nie sięga do końca sezonu. Ma to prawdopodobnie być furtką dla dyrekcji na wypadek, gdyby kasa nie dopisała, furtką, którą można by powrócić do robienia kasy na obcych farsidłach. Do tej ewentualności nie możemy dopuścić. Teatr o pełnym polskim repertuarze musi się spotkać z jak najżywszą sympatią i poparciem. Przestańmy być „papugą narodów", przestańmy zachwycać się byle idiotyczną bujdą cudzoziemską a psioczyć bezlitośnie na rzecz polską, stojącą na tym samym poziomie. Zdobądźmy się na lojalność i życzliwość wobec własnych pisarzy. Stwórzmy im atmosferę do dalszej pracy i rozwoju, nie rzucajmy im kłód pod nogi wtedy, gdy obcym za to samo równocześnie sypiemy złotówki.

Taki stosunek do polskich sztuk i realizującego je teatru powinniśmy wytworzyć tym bardziej, że do pracy w nowym sezonie przystąpiono z zespołem bardzo poważnie odnowionym. Częściowo przynajmniej stracony został Czajkowski, co uznać należy za stratę poważną ze względu na wszechstronność i rodzaj talentu tego artysty. Pozyskano natomiast tak cenne siły, jak Konstanty Tatarkiewicz (artysta i reżyser), Zygmunt Tokarski, Roman Karowski a z pań Irenę Rakoczy, Irenę Kwiatkowską i Helenę Łopuszańską. Zespół został w ten sposób i powiększony i wzbogacony prawdziwie utalentowanymi jednostkami. Dowodem tego np. świetnie zagrane i doskonale wyreżyserowane „Grube ryby".

Czas zatem zerwać ze swoistym snobizmem niechodzenia do teatru, jaki zakorzeniać się zaczął u nas ostatnio w pewnych sferach. Snobizm ten z gruntu szkodliwy ma swe źródło w lekceważeniu teatru, bagatelizowaniu jego pracy, zarozumiałej ślepocie, która nie umie dopatrzeć się w nim ani jednej jaśniejszej strony.

Warto pamiętać, że bieżący sezon da nam poznać naprawdę **polski teatr**, jego cienie i co najważniejsze jego **blaski**.

wi.

Recenzje

„Gdzie diabeł nie może..."

3-AKTOWA KOMEDIA ROMANA NIEWIAROWICZA. REŻYSER DR. POBÓG - KIELANOWSKI.

Sztukę Niewiarowicza poprzedziła wielka reklama. A to, że sztuka polska, a to że Niewiarowicz może skutecznie konkurować z komediopisarzami Węgier i Francji. Cieszymy się zawsze, ilekroć na deski sceniczne zawita autor polski. Żywimy bowiem w sercu skrytą nadzieję, że a nuż spotkamy się z rzetelnym talentem. A jeżeli widzimy, że autor zrzyna z zagranicznych pisarzy jak najęty, machamy ręką i mówimy: niech już będzie, grunt, że sztuka jest polska. U Niewiarowicza wynosi się pod niebiosy dialog. Istotnie jest on żywy i narzuca się widzom dość sugestywnie. I on właściwie podtrzymuje akcję, która, powiedzmy prawdę, jest jak na nasze stosunki za mało prawdopodobna. Szczególnie odnosi się to do perypetii dra Barka i Janki, te bowiem postacie mimo wszystko są nam najbardziej obce. Za to świetnie skrojony kupiec z Piotrkowa, dobry „wazny" woźny i kapitalna wręcz kuchta (odtworzona niestety za ordynarnie), rozgrzeszają autora z błędów, jakie popełnił chyba z chęcią dorównania autorom zagranicznym, którzy gustują w takich głupstwach jak dr Bark i Janka. Tu i tam wsunięte „prztyczki" w stosunku do współczesności polskiej wywołały nawet oklaski. Znak to, jak mocno jest odczuwane czasem pragnienie zdrowej satyry.

Grzębska była dobra. Chociaż jak na bezrobotną maturzystkę za rzutka. Panienki po maturze z taką przedsiębiorczością nie znajdziemy w Polsce. Przyjmijmy więc, że postać Janki jest wyjątkowa. W tym świetle gra Grzębskiej przedstawia się ciekawie. Wasilewski pokazywał się jako nieszczęśnik wciągnięty w idiotyczne plany Janki „ratalnie" t. zn. tylko wtedy, kiedy zrozumiał, że tego wymaga jego rola. Poza tym grał poprawnie a miejscami bardzo dobrze (scena w III akcie przy kartach, z których wróży Kundzia). W roli Karpika p. Górowski czuł się doskonale. Pokazał nam pierwszorzędny typ. To właśnie, ta typowość nie indywidualizująca, podbiła serca publiczności. P. Aleksandrowiczówna trzaskała drzwiami lepiej od prawdziwej kuchty. Myliłby się ten, ktoby sądził, że publika z tego się właśnie śmiała; publika śmiała się raczej z osłupienia, jakie pod wpływem tego powstało w Karp'ku (zdaje się, że było ono szczere). Pan prezes (p. Kostrzewski) udawał amerykanina, dlatego na tle atmosfery rodzimej, jaka wiała od większości osób, wypadł blado i sztywno.

Dekoracje dobre w III akcie, bo oryginalne. W dwóch pierwszych, owszem — ale nieciekawe.

„Grube Ryby"

3-AKTOWA KOMEDIA MICHAŁA BAŁUCKIEGO. REŻYSER KONSTANTY TATARKIEWICZ.

Czcigodne nazwisko Bałuckiego długo jeszcze będzie przyciągało ludzi. I uważamy, że im odleglejsze będą czasy, uchwycone przez Bałuckiego, tym większą popularnością będą się cieszyć jego sztuki. Nie wiem jak kto, ale ja na sztukach Bałuckiego doznaję osobliwego wrażenia halucynacji. Bo przecież wiem, że dokoła mnie siedzą panowie w najmodniej skrojonych ubraniach i panie korzystające z dobrodziejstw toalety XX wieku, a mimo to słowa padające ze sceny, wizja innego życia, przemijająca wyraziście w oczach, to wszystko utwierdza mnie w przekonaniu, że zyję w innych czasach, że na ulicy zamiast autobusu czeka mnie kolasa. Halucynacja po prostu. Takie samo wrażenie ma się i na innych sztukach, historycznych co do treści. Ale u Bałuckiego jest ono silniejsze, jako, że życie przez niego wyczarowane na scenę chwyta bezpośredniością i bliskością. Oczywiście do tego potrzebne jest dobre zagranie sztuki. „Grube ryby" zasadniczo nie są trudne do odtworzenia. Autor dał bowiem typy pełne, żywe, wyraziste w odróżnieniu od takich n. p. „Blagierów", gdzie osoby podobne są do sylwetek powycinanych z blachy.

Reż. K. Tatarkiewicz nie chcąc sztuki uczynić surowym dokumentem zycia ubiegłej epoki pozwolił aktorom na pewną karykaturalność ruchów. Pomysł okazał się dobry. Publika przyjęła to z dobrą wiarą. Osądzając grę aktorów z tego punktu widzenia trzeba przede wszystkim wyróżnić panów Tokarskiego i K. Tatarkiewicza w roli starych kawalerów za ich grę pełną werwy. Również i panie Łopuszańska i Kwiatkowska w rolach pensjonarek zagrały z werwą. Niestety w to wszystko wkradł się jeden błąd: pensjonarki w wyzej podanej interpretacji zachowaniem się mogły mieć lat jakieś trzynaście najwyżej czternaście. A tymczasem ich miłość, tak szybko godząca się na małżeństwo, mówiłaby o ich wieku i dojrzałości psychicznej co innego. P. Siemaszkowa i p. Winiaszkiewicz w roli Ciaputkiewiczów zagrali dobrze. Ciaputkiewicz powinien był tylko lepiej udawać „zawianego", bo w tym stanie wyglądał kapitalnie. Zasługuje jeszcze na wyróżnienie prawdziwy hreczkosiej Burczyński, odtworzony przez p. Godlewskiego. Reszta towarzystwa niczym specjalnym się nie wyróżniła :ani w znaczeniu złym ani w dobrym.

sz.

CZASOPISMA.

Góralski zeszyt „Zarania"

Trzeci w tym roku zeszyt „Zarania Śląskiego" poświęcono z okazji Święta Gór śląskiej góralszczyźnie, a w szczególności Wiśle. Starannie wydany, ozdobiony pięknym drzeworytem Jana Wałacha na okładce, zeszyt ten stanowi lekturę interesującą i dla miłośników gór pożądaną. Turyści, którzy górami interesują się szczerze i gromadzą skrzętnie poświęcone im wydawnictwa znajdują w tym numerze „Zarania" cenną pozycję dla swych księgozbiorów.

Na wstępie znajdujemy nastrojowy, przepojony umiłowaniem rodzinnych gór i zachwytem nad ich urokiem fragment Jana Łyska. Czytając jego słowa z żalem myślimy, że wiele z tego piękna, które tak przekonująco maluje Łysek, ginie już bezpowrotnie pod przemożnym naporem cywilizacji. W przeszłość Wisły prowadzi czytelnika obszerny, źródłowy szkic Franciszka Popiołka, odsłaniający jej barwne, ciekawe a często smutne dzieje. Współczesny obraz Wisły kreśli w bardzo entuzjastycznych barwach ks. dr. Andrzej Wantuła, który w innym artykule porusza sprawę pobytu i roli Juliana Ochorowicza w Wiśle. W niedawną przeszłość sięga Maria Pilchówna w ciekawym szkicu o Pawle Raszce, długoletnim „fojcie" wiślańskim. Początkom polskiego ruchu turystycznego w Beskidzie Śląskim poświęca artykuł dr. Jan Galicz. Klimatologię Beskidów kontynuuje dr. Władysław Milata, charakteryzując klimat beskidzkiego lata. Folklorowi poświęcili artykuły Longin Malicki, piszący o kożuchach górali śląskich, oraz Jan Tacina, odtwarzający życie ludu cieszyńskiego na podstawie jego pieśni. Zasługuje również na uwagę artykuł Jana Sławiczka „U wiślańskiego kompozytora" (Jana Sztwiertni). Poza wspomnianym fragmentem Łyska literaturę reprezentują w tym numerze na niepełnych czterech stronach Ludwik Łakomy urywkiem powieści i Paweł Kubisz „Rebelią goroli w Mostach", wierszem niestety w kilku miejscach mocno utykającym.

Pomiędzy taką ściśle autualną treść góralskiego numeru wstawiono zupełnie tematycznie z nią niezwiązany obszerny i skąd inąd bardzo wartościowy i ciekawy artykuł dr. Tadeusza Dobrowolskiego o konkursie na pomnik Marsz. Piłsudskiego i powstańca śląskiego w Katowicach. Artykuł ten daleki jest od oficjalnego tonu, jakiego można by spodziewać się od członka sądu konkursowego, a właśnie przez to zasługuje na bliższe zainteresowanie się nim. Naogół bowiem cała ta sprawa, nie będąca przecież bez znaczenia dla ubogich w pomniki Katowic i nieobojętna ze względu na formę uczczenia Marszałka Piłsudskiego i powstańców śląskich, spotkała się raczej z obojętnością. Artykuł dr. Dobrowolskiego rzuca na nią dużo ciekawego światła i dlatego może nawet dobrze się stało, że znalazł się w tym zeszycie, który przeznaczony był i dostępny dla ludzi z różnych stron Polski, biorących udział w Święcie Gór.

Zeszyt jest licznie i dobrze ilustrowany. Najgorzej stosunkowo wypadły niektóre ilustracje do artykułu dr. Dobrowolskiego, które wykonane są nie bardzo starannie i brudno.

W całości numer jest udany i stanowić będzie cenną pozycję w najnowszym roczniku „Zarania". A swoją rolę propagandową w stosunku do Beskidów i Wisły zapewne spełni.

tb.

Odpowiedzi Redakcji

AUTOROM NOTATKI, NADESŁANEJ DO REDAKCJI. Z notatki p. t. „Rzut oka wstecz", nadesłanej nam na marginesie art. Pclaka „Rewanż" niestety nie możemy skorzystać, gdyż przysłano ją do redakcji anonimowo. Prosimy o ewentualne skomunikowanie się z nami w tej sprawie.

Ze Śląskiej Szkoły Muzycznej

w Katowicach i Tarnowskich Górach.

Dyrekcja Śl. Szkoły Muz. podaje, iż na rok bieżący szkolny 1937/38 zostały otwarte następujące klasy przedmiotów głównych: śpiewu solowego, muzyki kościelnej (organu), fortepianu, skrzypiec i altówki oraz gimnastyki rytmicznej i plastyki (tańca). Każdy uczeń studiujący przedmiot główny — korzysta bezpłatnie z następujących wykładów przedmiotów dodatkowych obowiązujących: 1) zasad muzyki (teoria), 2) solfeżu (nauki czytania nut głosem), 3) nauki harmonii i kontrapunktu, 4) historii muzyki z estetyką, 5) nauki form muzycznych, 6) śpiewu solowego i chóralnego, i 7) zespołów muzyki kameralnej. Lekcje odbywają się od godz. 8-ej do 20-ej i podzielone są tak, że młodzież uczęszczająca do szkół ogólno-kształcących oraz ci, którzy są zatrudnieni w pracy zawodowej przed południem, korzystają z wykładów popołudniowych i wieczorowych. Zamiejscowym przysługuje zniżka kolejowa. Zapisy przyjmują sekretariaty: w Katowicach przy ul. Szopena 16, od godz. 10—13 i 15—18 codziennie, w Tarnowskich Górach przy ul. Zamkowej 3, od godz. 9—18.

Rozpowszechniajcie „Kuźnicę"

J. K. ZAREMBA.

PRZEKROJE

W kłębach kurzu maszeruje po polnej drodze kompania. Za nią druga i trzecia. Ciągnie szary wąż wojska, pobłyskują bagnety, chrobocą maski. Małe koniki ciągną cekaemy. To pułk, jak co roku jesienią, wychodzi na manewry. A na czole kompanij i plutonów idziemy my — rezerwiści.

Powołani na ćwiczenia, wyrwani z kręgu cywilnych spraw i zainteresowań, zostajemy wchłonięci przez nieustanny rytm fal maszerujących oddziałów. Ale nie bez reszty. A przynajmniej nie do tego stopnia, aby nie mogła powstać refleksja. Patrząc bowiem na maszerujące wojsko, którego cząstką jesteśmy, trudno nie pomyśleć o wielkiej ewolucji poglądów społeczeństwa w stosunku do wojska, jaka się w ostatnich czasach dokonała.

Był przecież taki okres, kiedy znaczna część prasy i przeważająca część wychodzących książek orientowała nas w kierunku wybitnie antymilitarystycznym. Mówiono, że wojsko to zaprzeczenie humanitaryzmu a wojna — bańbą XX w. Są jeszcze do dziś bodaj w użyciu czytanki dla szkół powszechnych, w których dowcipny autor jednego z ustępów tłumaczy milusińskim, że wojna to rozbój. Wynika to jakoby z samej nazwy ministerstwa spraw wojskowych w Rumunii. Nazwa ta brzmi: Ministerul dei Razboi. Tego samego w inny sposób usiłowano nas zresztą nauczyć zarzucając rynek książkami Dorgella, Remarque'a, Reuna (tego co teraz w czerwonej Hiszpanii swą niechęć do wojny manifestuje dowodząc oddziałami hiszpańskich komunistów). Na uniwersytetach subwencjonowano pisma w rodzaju „Trybuny ludów", w których akademicy - pacyfiści z pod znaku ZPMD „forsowali" porgram natychmiastowego moralnego rozbrojenia społeczeństwa.

Do tego samego typu poczynań należy niedawna jeszcze nagonka na „Trylogię" Sienkiewicza w szkołach średnich. A to że sadysta, a to że nie wychowuje jak trzeba, a to że nie nadaje się w ogóle dla młodzieży. Potem cały ten zapał pacyfistyczny prysł jak bańka mydlana. Ale pozostało po nim zbyt wiele przeżytków myślowych, aby można było w Polsce spokojnie oddychać. To też dziś mamy dwa kierunki wzajem się wykluczające i w nauczaniu i w praktyce życiowej. Niby to jesteśmy militarystami ale się do tego otwarcie nie przyznajemy. Było by to widocznie za mało postępowe. A że o wojsku mało się mówi i pisze, trudno na prawdę i wiedzieć, co o tym wszystkim myśleć.

Kto raz maszerował w szeregu przez miasto, z karabinem w dłoni, w stukocie butów uderzających o bruk, gdy pułk wdziera się niby żywa istota w gardziele ulic masą żołnierstwa, rozwiniętym sztandarem, dźwiękami orkiestry, ten wie, że uczucia, jakich się wtenczas doznaje należą do najsilniejszych w życiu. Stosunku, jaki często zawiązuje się pomiędzy dowódcą a podwładnymi, kolegą a kolegą, napróżno też by szukać poza wojskiem. Czyni to trud życia wojskowego, samo życie, które ukazuje nam w wojsku całkiem inne niż dotychczas znane oblicze. Uniłowski razem z swym „Dniem rekruta" musiał być w wojsku wielkim „ofermą". Z punktu widzenia ofermy opisał nam też wojsko.

Kiedy Mussolini wyraził się w jednym ze swoich przemówień, że wojna jest tym dla mężczyzn, czym rodzenie dla kobiet, oburzano się powszechnie. A jednak została powiedziana rzecz jakże zastanawiająca. W Polsce Marsz. Piłsudski był tym, który doskonale rozumiał znaczenie wojny jako motoru dziejów i postępu. Istotą życia — jak to już starym Grekom było dobrze wiadomo — jest i pozostanie żywiący życie spór. W epoce naszej spór ten wyraża się między innymi w rzeczy tak dziwnej, jak dziwną jest wojna. Dziwną, bo zarazem wzniosłą, okrutną i barbarzyńską. Ona to wzbudza bohaterów, wynalazców, ona płodzi najgorszych przestępców. Zawierucha napoleońska przeorała i odnowiła świat. Początkiem nowej epoki była wojna światowa. Cóż więc dalej, zapyta Pacyfista. Będziemy się w imię wzniosłości wojny wyrzynać i mordować w sposób coraz bardziej masowy i precyzyjny zarazem? Udoskonalimy narzędzia morderstwa, wymyślimy nowe gazy trujące, spotęgujemy brutalną przemoc człowieka nad człowiekiem, narodu nad narodem?

Na to wszystko jedna jest tylko odpowiedź: Pacyfizm dzisiejszy, wyrosły na gruncie zasad materializmu, nie położy kresu wojnie. Jest sam wielkim oszukaństwem. W swych konsekwencjach toruje drogę komunizmowi, gdzie dopiero przemoc człowieka nad człowiekiem święci prawdziwe tryumfy. Jest chęcią wytworzenia zmian, zależnych od psychiki człowieka, poza tą psychiką. Skierowanie sporu, warunkującego życie, na drogi inne niż wojna, może wypływać tylko z nakazu dość świętego i potężnego, aby mógł człowieka od wojny pohamować. Przesłanki materializmu czy postulaty humanitaryzmu są tu jednako bezsilne. Bo ludzkość nie jest celem sama w sobie.

Pacyfiści lubią powoływać się, gdy chodzi o problem zaprzestania wojen, na fakt zniesienia niewolnictwa. Jeśli można znieść było handel ludźmi, można znieść i wojnę. Zapominają jednak o tym, że niewolnictwu jako instytucji zadało cios rodzące się chrześcijaństwo. Trudno było traktować jako rzecz człowieka, który z punktu widzenia chrześcijanina uzyskiwał godność człowieczeństwa. Kościół wojujący, to właśnie przeniesienie sporu powodującego wojny w inne dziedziny, to ta sama heroiczna, postawa która cechuje żołnierza. Chrześcijaństwo też a nie marksizm może przeprowadzić zasadę, w której człowiek przestanie być dla człowieka wilkiem.

Pax Christiana in regno Christi. Kiedyż ten pokój się urzeczywistni? To pewna, że dziś żyjemy w okresie nadciągającej burzy. Nadciąga ona po wspaniałym rozkwicie idei pacyfistycznych i konferencyj rozbrojeniowych. Każda taka konferencja to wielki krok ku wojnie.

✲

STEFAN PAZUR.

SATYRA

Motyl i poeta

(J. Baranowiczowi poświęcam).

To było w biurze
południem Jana w oleju: —
czubkami nóżek
ugrzązł motyl w urzędowym kleju.

Próżno trzepota
złotymi skrzydły —
nie wyplącze żywota
z mazi przebrzydłej.

Już nadwyrężył stawy,
naderwał ścięgna;
niemrawy
przygasłym drganiem
odwieczerz żegna.

Zobaczył akt ten
szef referatu
zbożnie drzemiący nad aktem: —
już topielca czułek tykał
w filantropijnej pochętce
ale się potknął o punkt okólnika
więc kalkulował na prędce: —

„ — Bądź co bądź trudno być zbawcą
sprawy, co bodaj nie przeszła
nawet przez dziennik podawczy;
niech się trochę klejem zatka,
niechaj nabierze amtskraftu — —"
(właśnie woźny wniósł herbatkę,
więc przerwał wątek: — „postaw tu...").

Oczywiście referenci
patrzyli w szefa jak w słonko,
toż ratownicze sentymenta
jak zabłocone kalosze
pozostawiali w przedsionku —

Tak kwesia przybrała postać
niesamowitej dramy: —
władze
zawisły w powadze;
cud się iścił —
jedno raczyło ostać
wyjście: —
— rajskie bramy.

I jakoś na ostatni etap
niby deus ex machina
do biura wbiegł petent - poeta
i dojrzał tragedii finał: —

Podskoczył,
twarz wyobłoczył,
szczęściu rad,
zachłysnął się, zatoczył,
zrobił palcami młynka: —
leć stworzonko
ku słonku —
uratował bielinka — —

W gadce sens takowy jest, iż
różna w różnych śmieszność się plecie: —
urząd reprezentuje prestiż,
poeta poezję — —

✲

WŁADYSŁAW BORTH.

Ulica Marszałka Focha
w Katowicach

Jedną z największych postaci w historii powszechnej XX wieku jest marszałek Francji i Polski Foch. Był on naczelnym wodzem wszystkich wojsk koalicji, i wygrał największą wojnę świata, dzięki czemu także i naród polski odzyskał niepodległość i wyzwolił się z niemieckiej niewoli.

W uznaniu jego wielkiej historycznej roli i zasług nadała mu Polska najwyższe odznaczenie, bo tytuł marszałka Polski, a miasto Poznań nazwało jego imieniem jedną z pryncypalnych ulic.

Nie każdy jednak wie, że i w Katowicach jest ulica Marszałka Focha. Gdy się wyjeżdża z Katowic do Wielkich Hajduk już prawie za miastem znajduje się mała, wązka i krótka uliczka, kończąca się ślepo jakimś zaśmieconym placem, za którym jest już tylko pole — — to ulica Marszałka Focha w Katowicach. — Po jednej stronie tej uliczki stoją dosłownie dwa tylko domy, z których pierwszy narożny jest parterowy.

I mógłby powiedzieć ktoś, że nazwanie tej uliczki imieniem Marszałka Focha sięga jeszcze tych czasów, kiedy ta dzielnica dzisiejszych Wielkich Katowic była odrębną gminą. Ale tymczasem włączenie jej do miasta nastąpiło już bardzo dawno i Katowice od tego czasu przemianowały wiele ulic, a więc byłby też czas najwyższy znaleźć inną ulicę dla uczczenia imienia wielkiego Marszałka Francji i Polski.

Nie jest to rzecz, na którą nie należałoby zwracać uwagi, przeciwnie sądzę, że nawet władze wojewódzkie winne dać pewne dyrektywy gminom, jakie ulice można nazwać imionami ludzi wielkich w historii, aby wybór ulicy nie uchybił ich wielkości.

I rzucając okiem na uliczkę Marszałka Focha na przedmieściu Katowic, przypomina mi się miwo-woli ołtarz nazwany „Victoria", znajdujący się w katedrze św. Stefana w Wiedniu, a zbudowany na pamiątkę zwycięstwa nad Turkami. Na ołtarzu tym znajdują się posągi wszystkich wodzów i bohaterów, którzy brali udział w obronie Wiednia, oblężonego przez Turków w roku 1683. W środku ołtarza stoi więc wielki posąg hr. Starrenberga, obok inni wodzowie, a dopiero na dalekim miejscu na samym uboczu stoi mała figurka z napisem: Johann Sobieski, der König von Pohlen (Jan Sobieski król Polski). A przecież Jan Sobieski był pod Wiedniem główno-dowodzącym nie tylko armią polską, ale także i wojskami niemieckimi i innymi, które na odsiecz Wiednia przybyły i on to odniósł wielkie zwycięstwo, łamiąc potęgę turecką na zawsze i on to uratował Wiedeń i Austrię, która na pewno przez długie wieki byłaby by pod panowaniem pół-księżyca.

Jakże więc przykre wrażenie odniosłby obywatel zaprzyjaźnionej z nami Francji, gdyby zwiedzając Katowice znalazł się na ich przedmieściu w kierunku Hajduk i zobaczył, jaką to w Katowicach wybrano ulicę dla uczczenia Marszałka Focha.

Publikacja o życiu gospodarczym
Śląska Cieszyńskiego

Wyszła przed miesiącem nakładem Cieszyńskiego Komitetu Opieki nad Uchodźcami z Czechosłowacji. Jako wydawnictwo prezentuje się doskonale. O pracach Komitetu pisze dr Tomiczek. Pierwszy dział publikacji przedstawia nam przemysł i handel, przy czym szczególnie ciekawym z wielu względów jest tu artykuł Fr. Kulisiewicza o dorobku gospodarczym Polaków w Czechosłowacji. Więcej miejsca poświęcono górskim uzdrowiskom a to z okazji tegorocznego święta gór, którego siedzibą jest „nasza ukochana Wisła", jak czytamy w słowie wstępnym. O Wiśle pisze tu Morcinek, o Istebnej ks. Grim, o Jaworzu J. Kobiela. Poza tym napotykamy tu opis Ustronia i Brennej. Trzeci dział przynosi monografie przedsiębiorstw.

Całości dopełniają trzy felietony na tematy góralskie J. Szuścika i pięknie, bo niewielki format całości czynią z publikacji piękne wydawnictwo albumowe, niezbędne krzykliwie porozmieszczane ogłoszenia firm.

Publikacja również ujmuje swą szatą graficzną. Piękny papier, ogromna ilość ilustracyj o treści Śląska Cieszyńskiego, w każdym kulturalnym domu na Śląsku. Polecamy gorąco. Cena 1.50 zł.

✲

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: KATOWICE, UL. DĄBROWSKIEGO NR. 4. — TELEFON NR. 353-96 — KONTO P. K. O. NR. 304.581.

Abonament: rocznie 5,— zł, półrocznie 3,— zł, kwartalnie 1,50 zł. — Numer pojedynczy 0,30 zł

Ceny ogłoszeń: 1/1 strona 500,— zł, ½ strony 250,— zł, ¼ strony 120,— zł, ⅛ strony 60,— zł, 1/16 strony 15,— zł. — Drobne ogłoszenia 25 gr. za słowo.

Przyjmuje się tylko ogłoszenia firm polskich i chrześcijańskich

Wydawca: Komitet Red. „Kuźnicy". Red. odpow.: Wł. Drożdżyński. — Druk: „Drukarnia Narodowa" Chorzów I, ul. Krzywa 14, telefon 406-62.